

Artur Ławniczak¹

Narodziny i dzieciństwo państwowości

Państwo, podobnie jak wszystkie inne związane z aktywnością rodzaju ludzkiego kreacje, nie jest odwiecznym bytem, w związku z czym ma ono swoje początki, co oznacza, że w jakimś momencie historii pojawia się na arenie dziejów, aby stawiać na niej pierwsze, niepewne kroki, poprzedzające ewentualne ustakowanie się poprzez zajęcie solidnej pozycji w międzynarodowej społeczności. Póki to nie nastąpi, to znajduje się ono na wczesnym etapie swego rozwoju, jak najbardziej porównywalnym z zaczątkowym okresem ludzkiego życia.

Jego inauguracja objawia się krzykiem wydobytego z matczynej łona człowieka, który jest odpowiednikiem nagłaśnianej *urbi et orbi* Deklaracji Niepodległości, oznaczającej rozbrat z macierzą, rozumianą jako istniejąca już państwowość, którą porzucają emancypujący się od niej secesjoniści. Może być też tak, choć dzisiaj ten wariant jest trudny do przeprowadzenia ze względu na rozpanoszenie się rozmaitych państw na Ziemi, że zamiast oddzielonej od wcześniej istniejącej struktury mamy do czynienia z amorficznym w instytucjonalnym wymiarze konglomeratem przedpaństwowego społeczeństwa, „stającego na nogi” wskutek dziarskich dźwięków państwowotwórczej trąbki. Uświadamia ona słuchającym jej akustycznych zachęt ludziom, że tworzą oni polityczną wspólnotę, która dojrzała do tego, aby zinstytucjonalizować ją, dzięki czemu przybierze postać umożliwiającą oficjalną koegzystencję z innymi członkami „rodziny narodów”.

Powiększa się ona zatem wówczas, gdy dotychczas współkonstituujące ją podmioty przyjmują do wiadomości, że trzeba trochę się posunąć, aby stworzyć miejsce dla nowego bytu, domagającego się własnego „miejsca pod Słońcem”. Uznanie takiej konieczności przejawia się w potwierdzaniu istnienia już funkcjonujących organizacji społeczno-

¹ Dr hab., Uniwersytet Wrocławski.

politycznych, aspirujących do uzyskania wzbudzającej niezmiennie pożądanie państwowej rangi, której prawnopolityczne potwierdzenie jest wciąż uznawane za „niezbędny glejt”, bez którego można być tylko pariasem, „wycierającym pańskie progi” i zagląającym tęsknie przez okna do salonu, gdzie we własnym gronie „szlachetnie bawi się państwo”.

Jeśli postanowi ono, że możliwe jest rozszerzenie towarzystwa poprzez wpuszczenie do środka oczekujących w kolejce kandydatów, to wówczas będą oni odgrywać rolę raczkujących na dywanie maleństw, oczekujących „w strachu i trwodze” jedynie słusznych wskazówek tworzonych przez „starszych i mądrzejszych”. Ustalone przez nich reguły są automatycznie rozciągane na tych, którzy dołączają do ich grona, co jest możliwe dzięki temu, że nowicjusze akceptują istniejące przed ich awansem reguły. Mogą oni próbować je zmienić dopiero wówczas, gdy staną się pełnoprawnymi członkami wchłaniającej ich społeczności, staż w której pozwoli na pozbycie się dziecięcej otoczki, z którą mamy zatem do czynienia zarówno w prywatnoprawnym, jak i *sensu largo* prawnopolitycznym wymiarze.

Widzimy zatem, że cywilnoprawne, wywodzące się z *ius romanum* pojęcia, są implementowane na publicznoprawny grunt, gdzie odgrywają rolę czynników pozwalających na unormowanie stosunków między współtworzącymi jurydyczno-polityczny porządek podmiotami, tworzącymi we wzajemnych stosunkach relacje, będące odpowiednikami tych, jakie występują w szeroko rozumianym prawie cywilnym. Bez specjalnego trudu odnajdziemy w nim konstrukcję małżeństwa, polegającą na połączeniu dwóch podmiotów, które współtworzą nową całość. Jeśli na ślubnym kobiercu stają umieszczone na czele państwowości ukoronowane osoby, to takie przedsięwzięcie może skutkować ukonstytuowaniem unii. W takim wypadku dochodzi do mniej lub bardziej pogłębionego zlania się dotychczas oddzielnych organizmów we wspólne ciało.

W historii zachodniej Europy bodajże najbardziej znanym przykładem takiej sytuacji jest ślub Izabeli Kastylijskiej z Ferdynandem Aragońskim, będący założycielskim fundamentem istniejącej do dzisiaj hiszpańskiej monarchii, natomiast w orientalnej części Starego Kontynentu trudno nie zauważyć ożenku Jadwigi z Jagiełłą, skutkującym po upływie dekad powstaniem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, reprezentowanych podczas krakowskiego ślubu przez najbardziej prominentnych przedstawicieli łączących się wspólnot. Ich synteza na początku miała luźny charakter, pomału przekształcający się w coraz bardziej zintegrowaną całość, którą możemy potraktować jako dojrzały twór, ewoluujący z zarodkowej postaci, powstałej w rezultacie historycznego rozstrzygnięcia małopolskich panów, decydujących się na polsko-litewskie zespolenie.

W takim modelu mamy do czynienia z politycznoprawnym odpowiednikiem monogamii, skoro formalnoprawnie nowa państwowość ma dwójkę odmiennopłciowych rodziców, kreujących ją dzięki swojemu związkowi. Inaczej jest wówczas, gdy mamy do czynienia z rezolucją wieloosobowego zgromadzenia stwierdzającego, że ich wspólnota będzie się rozwijać w samodzielny sposób, uniezależniając się od dotychczasowych protektorów. Taki schemat odnajdziemy na alpejskiej łące Rütli, gdzie „zaczątkowi Szwajcarzy” wypowiedają posłuszeństwo Habsburgom, tworząc składający się z trzech gmin związek wielokantonowej Helwecji. Model ten został następnie odtworzony i zmodyfikowany po zachodniej stronie Atlantyku, zamieszkiwanej przez z emancypujących się kolonistów, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo brytyjskiej Macierzy i zadeklarowali powstanie Stanów Zjednoczonych. Taki antymonarchiczny paradygmat wypada uznać za publicznoprawny odpowiednik poligamicznego związku, z tym, że w państwowym wymiarze na klasycznie republikańskim gruncie przybiera on jednopłciową postać, obejmującą wszystkich sygnatariuszy niepodległościowej deklaracji, stających się Ojcami Założycielami nowej państwowości, wchodzącej w przypadku USA *ex abrupto* w dość dojrzałą postać egzystencji.

Zarówno Szwajcaria, jak i Stany Zjednoczone wciąż trwają w swoich wieloczłonowych postaciach, co oznacza, że owe związki, a szczególnie pierwszy z nich, należy ocenić jako trwałe, nieograniczone, jak to bywa w ich ludzkich odpowiednikach, zjawiskiem osobniczej śmiertelności, nieprzeszkadzającej w trwaniu państwowości. Nie oznacza to bynajmniej, że nie odnajdziemy przykładów rozpadu federacji, symplicystycznie porównywalnego do rozwodu. Inaczej rzecz ujmując, podział oficjalnie wewnętrznie złożonego państwa na podmioty dotychczas go współtworzące jawi się jako odpowiednik rozpadu rodziny czy też emancypacji konstytuujących ją bytów, obierających własną drogę rozwoju. Przed wkroczeniem na nią ich status jest co nieco porównywalny z tym, jaki ma *nasciturus*, gdyż są one już ukształtowane, co oznacza, że mają swoje organy i tworzą swoistą całość, tyle, że wciąż przebywają w ojczyźnianym łonie, które opuszczają wówczas, gdy paternalistyczny uścisk nie jest już w stanie powstrzymać „rwących się w szeroki świat” latorośli. Wówczas od rdzeniowej czy też ojcowsko-matczynej części państwowości odrywają się „hołubione” przez nią dotychczas subpaństwowości, których przywódcze elity uznają, że nadszedł czas emancypacji. Tak było wówczas, gdy rozpadał się Związek Radziecki lub Jugosławia, których całkiem liczna, szczególnie w pierwszym przypadku, „progenitura” poszła własnymi drogami, natomiast czechosłowacki *casus* jest cokolwiek inny, gdyż CSRS składała się zaledwie z dwóch części, co skłaniało licznych komentatorów do mówienia o rozwodzie,

choć uprawniona jest także formuła wydostania się z rodzicielskich objęć potomka, bo przecież w tej federacji to Czesi byli sprawczym czynnikiem, protekcyjnie spoglądającym na swoich słowackich podopiecznych, niejednokrotnie czujących się nieswojo w skonstruowanej przez praskich polityków państwowości. W bratysławskiej optyce jawiła się ona często w postaci niedobrej macochy czy też niesprawiedliwego ojczyma, krzywdzącego przysposobione dziecko. Ten psychologiczny syndrom można zresztą równie dobrze odnieść do radzieckich oraz jugosłowiańskich stosunków, przy czym w ZSRR oraz SFRJ liczba „pasierbów” była znacząco większa niż w federacyjnej zachodniosłowiańskiej republice.

W przedstawionych powyżej przypadkach można mówić o endogamicznych narodzinach nowych państw, „wyskakujących z rodzicielskiego ciała jak Atena z głowy Zeusa”. Za alternatywę wypadaloby uznać egzogamiczny, czyli polegający na samoistnym, zupełnie niezależnym od istniejących dotychczas organizmów politycznych, powstawaniu nowej państwowości, co w naszych czasach jawi się jako opcja niezwykle trudna do zrealizowania z powodu upaństwowienia właściwie całej Ziemi, co oznacza, że nowe państwowości powstają kosztem już istniejących i zaprowadzają na opanowanym przez siebie terytorium porządku, które będą generalnie powielać te, jakie istnieją i istniały w występujących dotychczas na scenie politycznych dziejów organizmach państwowych.

Nota bene określenie to, przypominające o cieszącej się onegdaj sporą popularnością organicznej teorii, zachęca do porównywania tworzonych przez ludzi kolektywów z konstytuującymi je osobami. W republikańskiej wersji są one zasadniczo traktowane jako dorośli, noszący w sobie umowną część konstytuowanej przez nich wspólnoty, składającej się z pełnoprawnych obywateli. Czującym miejscem owej konstrukcji jest fakt istnienia na terytorium państwa z założenia całkiem sporej populacji nieletnich, będących „ułomnymi obywatelami”, muszącymi cierpliwie czekać na moment oficjalnego uznania za dojrzałych politycznej wspólnoty. W gruncie rzeczy nie bardzo wiadomo co z nimi zrobić w sytuacji narastającej demokratyzacji republikańskiego paradygmatu, wyrażającej się w lansowaniu nowoczesnego dogmatu powszechnego prawa do głosowania czy też zawołania o konieczności zwalczania dyskryminacji wszelkiej maści.

Inaczej jest w tradycyjnej monarchii, którą możemy uznać za pierwotną, a zatem poniekąd dziecięcą postać państwowości. Nie ma w niej miejsca na egalitarny przesąd jednakowego prawopolitycznego statusu wszystkich mieszkańców, ponieważ panujący z założenia jest jakościowo innym podmiotem niż jego poddani. W szczególnie wyrazistym patrymonialnym ujęciu jest on odpowiednikiem ojca, opiekującym się politycznie niedojrzałą

dziatwą. To w nim skupia się suwerenność, zwierzchność i wszystko, co ważne w państwie, utożsamianym z nim w przypisywanym Ludwikowi XIV powiedzeniu. Ma on chronić swoich podopiecznych przed wszelakimi zagrażającymi im nieszczęściami i nie przejmować się zanadto ich opiniami, *ex definitione* nacechowanymi niedojrzałością, w związku z czym Światły Monokrata spokojnie może przejść nad nimi do porządku dziennego. Taki układ stosunków w podległej mu państwowości sprawia, że przypomina ona wielki dom dziecka.

Konstatacja ta nie oznacza bynajmniej, że nie dostrzeżemy jego znamion we współczesnych republikach, charakteryzujących się w porównaniu z ich klasycznymi archetypami znacznym nasileniem politycznej aktywności młodych ludzi, niegdyś traktowanych jako zaledwie kandydatów, dopiero aspirujących z racji wieku do wstąpienia w szeregi społeczeństwa obywatelskiego. Warto przypomnieć, że w tradycyjnych społecznościach niezwykle ceniono mające dużą wartość w zasadniczo niezmiennym świecie doświadczenie, którym z natury rzeczy w większym wymiarze dysponują starcy, co skłaniało do uprawiania gerontokracji, której najbardziej znanymi przykładami są lacedemońska geruzja oraz rzymski senat. Jego jednoimienne inkarnacje w naszej epoce są zazwyczaj niewiele znaczącymi dodatkami do „bardziej wyrażających postępowego ducha instytucji”, dostęp do których nie jest obwarowany osiągnięciem dostojnego wieku, dzięki czemu „młodzi mogą śmiało kształtować odpowiadający wymogom czasu paradygmat”. Jeszcze bardziej wyrazistym przejawem tej tendencji jest moda na kreowanie dziecięcych parlamentów, mających „zawstydząć dorosłych poziomem obrad i kulturą dyskusji”.

Być może zjawisko to, jawiące się jako zadziwiająco aberracyjne w „starym, dobrym, przedrewolucyjnym świecie”, stanowi próbę uśmierzenia niepokoju wywołanego narastającą popularnością przekonania o nieuchronnym przemijaniu potęgi Zachodu, dotkniętego przez nasilającą się senilność, co sprawi, że znajdzie się w cieniu nowych potencji. Ów *Untergang des Abendlandes* może być traktowany nie tylko jako prawnonaturalna konieczność, ponieważ co bardziej wrażliwi dywagatorzy są skłonni dostrzegać w nim swoistą karę za grzechy, popełnione wówczas, gdy prężący muskuły imperializm sięgał po najdalsze zakątki ekumeny. Jest on upaństwowionym przejawem radykalnego witalizmu, idącego w parze ze społecznym darwinizmem, głoszącym kult silniejszych, sprawniejszych w rywalizowaniu o miejsce pod Słońcem narodów, klas i ras. Sukces osiągają najbardziej dojrzałe spośród nich, przy czym do jego osiągnięcia konieczna jest zmaksymalizowana *vita activa*, której szczególnie wyrazistą formą jest połykanie i trawienie słabych państweczek przez obdarzone skoncentrowaną męską energią mocarstwa, których apologetyci głoszą konieczność niesienia przez białego człowieka jego brzemienia po to, by *per fas et nefas* wyrwać pozostające

w stanie dziecinnego baraszkowania egzotyczne ludy, z lubością oddające się „różnym obmierzłym praktykom” z ludożerstwem na czele. *Nota bene* cywilizujące ich potencje poniekąd też go praktykowały, skoro politycznie „pożerały ludy”, aby wyprowadzić je z infantylnego w kolonizatorskiej optyce niedorozwoju i narzucić okcydentalne standardy kulturowo-politycznej dojrzałości.

Eksperyment ten zakończył się w ten sposób, że na Zachodniej Półkuli w pierwszej części XIX stulecia, a w Starym Świecie w drugiej połowie XX wieku doszło do szeroko zakrojonej dekolonizacji, oznaczającej powstanie wielu nowych państw, często zawdzięczających swoje istnienie w uzyskanym kształcie niegdysiejszym porozumieniom między kolonialnymi potencjami, tworzącymi nowe administracyjne jednostki, niejednokrotnie bez uwzględnienia dotychczasowych stosunków społeczno-kulturowo-konfesyjno-politycznych na danym obszarze. Dlatego też można w przypadku tego typu podmiotów mówić o sztucznej hodowli przyszłych państwowości, przypominającej praktyki *in vitro*. Polityczna historia tego rodzaju państwowych *homunculusów* pokazuje, że lekceważenie prawnonaturalnych uwarunkowań w imię interesów zaoceanicznych mocarstw, wrzucających do jednego worka skonfliktowane z sobą ludy i napuszczające następnie jedne na drugie w imię prastarej dyrektywy *divide et impera* prowadzi po „umyciu rąk” przez kolonialistów i opuszczeniu zajętych przez nich niegdyś obszarów w imię wilsonowskiej zasady samostanowienia narodów do powstania sytuacji, przywodzącej na myśl hobbesowską *bellum omnium contra omnes* lub też goldingowskiego *Władcę much*. Dotknięte „dziecięcą chorobą wysoce szkodliwego egoizmu” młodziutkie państwa nie potrafią w rozsądny sposób poradzić sobie z własnymi sprawami, co nie przeszkadza im bynajmniej intensywnie przeszkadzać innym w prawidłowym rozwoju. W wielu przypadkach stan ten utrzymuje się pomimo upływu kilku lub kilkunastu dobrych dekad od momentu uzyskania niepodległości, wciąż nieprzekładającej się na osiągnięcie stanu pozwalającego na zaliczenie do „szacownego grona poważnych, pławiących się w stabilności państwowości”.

Przyczyny takiej sytuacji są zarówno endogenne, jak i egzogenne, lecz w dominującym dyskursie, oddziałującym chociażby na powyżej napisane treści, akcentuje się odpowiedzialność mającego wyjątkowo złą prasę imperializmu, co *per se* sprawia, że antyimperializm jest jak najbardziej *au courant*. W radykalnej postaci tej tendencji, reprezentowanej libertarian oraz anarchistów, dostrzega się w gruncie rzeczy zapowiedź leninowskiego „najwyższego stadium kapitalizmu” w każdym państwowotwórczym dążeniu do wielkości, którego realizacja nie może się obejść bez podporządkowania „karłowatych państweczek, przeszkadzających w realizacji ambitnych planów uszczęśliwienia ludzkości”.

Zwolennicy przeciwnej filozofii będą uparcie uważać, że „małe jest piękne”, z czego wypływa wniosek, iż należy z jednej strony chronić istniejące minipaństwa, a z drugiej usilnie dążyć do rozczłonkowania istniejących „szkaradnych molochów”. Ich przeciwnicy są przekonani, że rozrost jakiegokolwiek państwowości jest szkodliwy, gdyż idzie w parze z nadmiernym etatyzmem, rozrastającym się na zajmowanych przestrzeniach, których opanowanie przez łapczywe władze prowadzi do chorobliwego *elephantiasis*, utrudniającego życie przygniecionym przez aparat ucisku ludziom, zmuszonym do współtworzenia horrendalnego Lewiatana. Jego przeciwnicy uprawiają kult małości, który odnajdziemy chociażby w zawołaniu Europy *Stu Flag*. Jego realizacja doprowadziłaby do przywrócenia *in genere* stanu, jaki istniał na średniowiecznym Starym Kontynencie, kiedy to istniało znacznie więcej posiadających znamiona państwowości bytów, pochłoniętych następnie przez oświecone monarchie, przygotowujące grunt pod nowoczesne państwa narodowe. Ich ewentualny podział na odwołujące się do mediewalnych tradycji podmioty potwierdzałby przekonanie, że „nic w przyrodzie nie ginie”, a zatem unicestwienie jakiejś formy państwowej egzystencji niekoniecznie musi być ostateczne, bowiem w sprzyjających warunkach może ona zmartwychwstać. Do tego typu wypadków doszło już w XX stuleciu w Europie Środkowo-Wschodniej, a niedługo zapewne zjawisko to da znać o sobie w okcydentalnej części naszego kontynentu. Jego sformalizowane owoce, czyli nowo-stare, „wyciągnięte z historycznych czeluści relikty Starej, Dobrej Europy”, świadczą czy też mogą świadczyć o tym, że w politycznej historii miewamy do czynienia z reinkarnacjami, polegającymi na tym, że pozornie umarłe państwa jeszcze raz pojawiają się na arenie dziejów jako powtórne noworodki, co świadczyłoby o tym, że w okresie oficjalnego niebytu pozostawały one w stanie uśpienia lub utajonego życia na podobieństwo niektórych zwierząt, które mogą całe miesiące albo i lata cierpliwie trwać w hibernacji, aby pojawić się w całej okazałości wówczas, gdy nastaną sprzyjające warunki. Ich państwowe odpowiedniki podczas „międzyżycia” jawią się, nieco inaczej rzecz ujmując, jako przetrwalnikowe postacie poprzednich państwowości, wielosezonowe zazwyczaj zarodki czy też embriony, zawierające w sobie zarówno wspomnienie o niegdysiejszej inkarnacji, jak i wizję następnego wcielenia, co sprawia, że ewentualne narodziny będą wtórne, podobnie jak dziecięco-młodzieńczy okres życia nowej państwowości, a może, jeśli los na to pozwoli, również dojrzało-starczy etap prawnopolitycznego bytowania. Zresztą w przypadku zupełnie nowych państw ich egzystencjalne przypadki też nie są w szerszej skali zupełnie oryginalne, bowiem podlegają ogólnym prawidłowościom, podobnie jak częściowo porównywalne z nimi ludzkie żywoty.

W odniesieniu do tych drugich zostało sformułowane i umieszczone w porządku konstytucyjnym szeregu państw prawo do życia, którego odpowiednikiem na obszarze prawa politycznego zdaje się być wilsonowska zasada samostanowienia narodów, choć ta druga, szczególnie wówczas, gdy Prezydent USA rozgłaszał ją *ex cathedra* po to, aby była słyszana we wszystkich zakątkach ziemskiego globu, zdawała się odnosić przede wszystkim do tych nacji, które znajdowały się w imperialnych „więzieniach narodów”, czekając na prawno-polityczne narodziny, a zatem na gruncie prawa prywatnego dokładniejszym odpowiednikiem dogmatu Woodrowa Wilsona byłoby prawo do narodzin, niebędące zdaje się uznaną częścią prawoczościowego kanonu ze względu na to, że możliwość dokonywania aborcji w wielu postępowych krajach traktowana jest jako fundamentalne dla „wyzwolonych z wielowiekowego męskiego ucisku” kobiet uprawnienie. Gdy z kolei zastanowimy się, co przypominałoby spędzenie płodu w prawie narodów, to dojdziemy do wniosku, że wypadałoby wskazać na zasadę zwalczania irredentyzmu, idącą w parze z zawołaniem zwalczania wszelkiej maści secesjonizmu, mającymi zagwarantować każdej państwowości zachowanie jej aktualnego obszaru niezależnie od „ludożerczych” aspiracji sąsiadów czy też emancypacyjnych tęsknot mniejszości narodowych.

Oznacza to, że funkcjonuje domniemanie wystarczającej liczby państw, współtworzących globalną Rodzinę Państwotwórczych Narodów. Jej członkowie zasadniczo nie dostrzegają potrzeby poszerzenia swoich szeregów, gdyż taka opcja grozi naruszeniem międzynarodowego ładu, opartego na sieci umów, a przecież *pacta sunt servanda*. A zatem stabilność globalnego porządku jest traktowana jako najwyższe dobro, naruszane wówczas, gdy pojawiają się nowe państwa podejrzewane o to, że mogą odgrywać rolę niesfornych *enfants terribles*. Dlatego też w Afryce pomimo sztuczności sprokurowanych poniekąd *in vitro* przez imperialistów rozlicznych nienaturalnych państwowości obowiązuje zasada nienaruszalności postkolonialnych granic, co ma chronić przed urzeczywistnieniem zasady samostanowienia narodów, zwalczanie której przypomina co nieco maltuzjańską obawę przed nadmiernym rozmnożeniem się rodzaju ludzkiego, skutkującą prawem do antykoncepcji, możliwej do skojarzenia z polityczno-kulturowymi działaniami państwowych aparatów przymusu, urabiającymi ujednoliczonych obywateli, mających tworzyć niezróżnicowaną etnicznie masę, bezwzględnie dochowującą wierności ojczyściej państwowości.

Jeśli jest ona w swojej dziecinnej fazie rozwoju, ewentualnie przeżywa „drugą młodość” po rewolucyjnej zmianie społeczno-politycznego paradygmatu, to wówczas przywiązuje się w niej szczególną wagę do publicznego wychowania dzieci i młodzieży,

spośród których mają się wyłonić „decydujące o wszystkim kadry” budujące „światłą przyszłość” ogólnopaństwowej wspólnoty. Władza podejmuje zatem intensywne starania, nakierowane na ufundowanie najmłodszym obywatelom szczęśliwego dzieciństwa, odpowiadającego wyobrażeniom zideologizowanych edukatorów. Podobnie jak północnoamerykańscy Ojcowie Założyciele uważają oni, że *pursuit of happiness* jest jak najbardziej pożądanym zachowaniem nowożytnego człowieka, który niekoniecznie, szczególnie jeśli jest dzieckiem, potrafi świadomie wybrać najlepszy model dążenia do szczęścia, w związku z czym to państwo powinno je zapewniać. Wynika z tego, że niedorośle lub odmładzające się państwowości kładą szczególny nacisk na kompatybilną z ich pierwotnym lub wtórnym wiekiem część populacji, pragnąc usunąć z jej świadomości „reakcyjne złogi” po to, aby zamiast nich pojawiła się dziewicza *tabula rasa*, niezwykle ułatwiająca kreowanie Nowego Człowieka, bez którego nie bardzo jest możliwe budowanie Nowego Państwa.

Jeśli przedsięwzięcie to zakończy się przynajmniej przejściowym sukcesem, to ma szansę przekształcić się w Wielki Imperialny Projekt, rozwijający się wraz z ogólnymi prawami wzrastania i rozkładu, zgodnie z którymi po osiągnięciu pewnej krytycznej masy porażona *elephantiasis* państwowość jest jak najbardziej dojrzała do tego, żeby ulec rozczłonkowaniu, jawiącemu się jako publicznoprawna inkarnacja pojedynczego lub zmultiplikowanego rozrodu. W jego wyniku powstają nowe organizmy państwowe, hodujące od małego własnych „janczarów”, identyfikujących swój los z etatystycznym Wielkim Bratem, przygarniającym chętnie do swego ojczystego łona wszystkich tych, którym ma zastąpić genetycznych rodziców.

Zasadniczo, przynajmniej w tradycyjnym modelu rodziny, jest ona zakładana po to, aby wydać na świat potomstwo, a zatem jest ideowo brzemienna swoimi następcami, którzy będą rozkrzewiać genealogiczne drzewo. W przypadku państwowości natomiast zakłada się na aktualnym etapie rozwoju jego formuły, że zasadniczo powinno być bezpłodne, tzn. „trwać na osiągniętych pozycjach” i wytrwale pilnować tego, aby z jego organizmu nie wyrósł „żaden arogancki chwast”, zakłócający uważany za wieczny, jak to zwykle bywa, Globalny Ład. Jednakże historia poucza, że fukuyamowski Koniec Historii jest raczej niemożliwy do osiągnięcia przed Końcem Wszystkiego, z czego wynika, że nowe państwowości bezustannie czekają na swoją dziejową szansę, kiedy to sprzyjający splot wydarzeń sprawi, że „ni z tego, ni z owego” owe „niechciane bękarty” obwieszczą swoje istnienie.

W przypadku „reakcyjnych heteroseksualnych stadel” jest ono zazwyczaj w szybkim tempie potwierdzane przez odpowiednie urzędy, dające „patent na oficjalne

człowieczeństwo”, nabierające swojej pełni wraz z osiągnięciem formalnej dorosłości. Inaczej jest w dziedzinie prawa narodów, gdzie generalnie nikt nie czeka na nowych przybyszów, co sprawia, że niejednokrotnie muszą oni przez długie lata oczekiwać na oficjalne zaakceptowanie, które możemy potraktować jako przyzwolenie na współkonstytuowanie Globalnej Rodziny Akceptowanych Państwowości. Póki to nie nastąpi, pozbawione uznania państwa wiodą trudny żywot nieposiadających jasnego statusu bytów, znajdujących się w przedsionku Międzynarodowej Społeczności, przypominającym co nieco opisany przez Dantego przedsionek Infernum, gdzie w permanentnym stanie zawieszenia przebywają dusze nieochrzczonych dzieci, trudne do zaklasyfikowania w dualistycznym niebiańsko-piekielnym schemacie. Podobnie ma się sprawa z „niechcianymi państwami”, znajdującymi się pomiędzy oczywistą niepaństwowością a jej powszechnie uznawanym zaprzeczeniem w postaci „powszechnie szanowanego podmiotu prawa narodów”. Taką rangę osiąga się dzięki składanym przez bardziej zakorzenione na międzynarodowej scenie państwa aprobatywnych oświadczeń oraz członkostwu w globalnych organizacjach z ONZ-em na czele, co możemy sobie skojarzyć w prywatnoprawnym wymiarze z obywatelstwem, jak również z przynależnością do prominentnych kościołów, banków, partii oraz stowarzyszeń i klubów, potwierdzających przynajmniej potencjalną dorosłość uspołecznianego dzięki przyjęciu do masowej organizacji człowieka.

Summa summarum możemy uznać, że pewne prawidłowości dotyczące jego umieszczonego w społeczno-politycznym kontekście osobniczego rozwoju odnoszą się także do egzystowania tworzonych przez rodzaj ludzki państwowości, choć oczywiście owo przenoszenie reguł nie ma absolutnego charakteru, bo przecież zbiorowości mają swoją specyfikę, co sprawia, że nie zawsze odnajdziemy w nich te same zasady, które określają losy pojedynczych ludzi czy też konstytuowanych przez nich niewielkich grup z rodziną na czele. W tej sferze rzeczywistości w dość ewidentny sposób przejawia się przemijanie, bo przecież ludzie „rodzą się, płodzą i odchodzą” i spostrzeżenie to możemy odnieść także do wyabstrahowanych z wielopokoleniowości „nuklearnych rodzin”. Jednakowoż w wymiarze rodowym już jest inaczej, bowiem z założenia ma on trwać dłużej niż jedna generacja, podobnie jak plemię czy wreszcie państwowotwórczy naród. Nie zawsze się to udaje, tym niemniej istnieją na świecie przykłady długowiecznych dynastii oraz państw, z których najbardziej znanym jest Japonia, gdzie wywodzący swoje pochodzenie od bogini Słońca Amaterasu cesarski ród od niepamiętnych czasów tworzy prawnopolityczno-kulturowe jądro dalekowschodniej monarchii, jawiącej się jako upubliczniony ekwiwalent biblijnego Matuzalema. Wszakże kiedyś w przyszłości Kraj Wschodzącego Słońca spotka zapewne ten

sam los co długowiecznego starotestamentowego bohatera, wytrwale, ale jednak do czasu dźwigającego brzemień własnej starości.

A zatem przemijanie, choć w nieco inny sposób, dotyka zarówno mężczyzn i kobiety, jak i konstruowane przez nich państwa. Jeśli założymy dość prawdopodobną hipotezę ich powstania na określonym etapie rozwoju, co w logiczny sposób jest kompatybilne z wcześniejszym lub późniejszym zakończeniem egzystencji, to należy jeszcze raz podkreślić, że, *toutes proportions gardées*, przy odrobinie dobrej woli bez większego trudu odnajdziemy podobieństwa w generalnym schemacie narodzin, dojrzewania i obumierania samych ludzi oraz tworzonych przez nich organizacji, spośród których państwa wciąż jawią się jako szczególnie istotne. W najbliższym czasie będzie nam zapewne dane obserwować prastary spektakl pojawiania się na powierzchni ziemskiego globu kolejnych wcieleń wciąż intrygującej i kuszącej idei państwowości, niewątpliwie trwalszej od jej rozlicznych inkarnacji, kreowanych uparcie przez ludzi, odnajdujących w nich hipostazę swego własnego przeznaczenia, tak wyraziście przedstawionego w odpowiedzi na postawione w starohelleńskiej tragedii pytanie Sfinksa, udzielonej przez nieuchronnie kojarzonego z władztwem Edypa, co skłania do dostrzeżenia w trzech fazach człowieczego żywota ukrytego odniesienia do państwowej sfery, nieuchronnie naznaczonej przez człowieczeństwo, niebędące w stanie w sferze materialnie namacalnych społeczno-politycznych bytów wykreować czegoś, co w znaczący sposób odbiegałoby od ludzkiej natury.